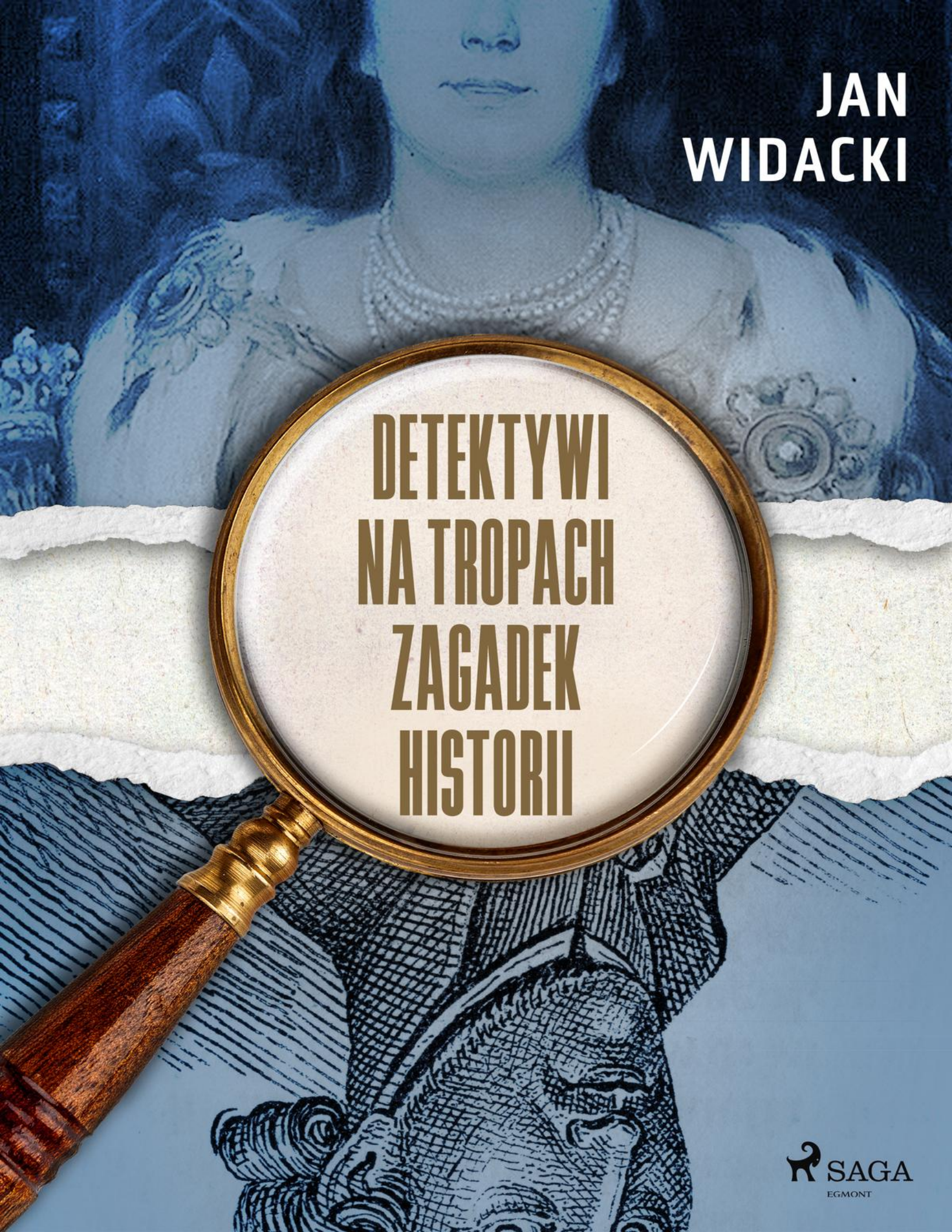
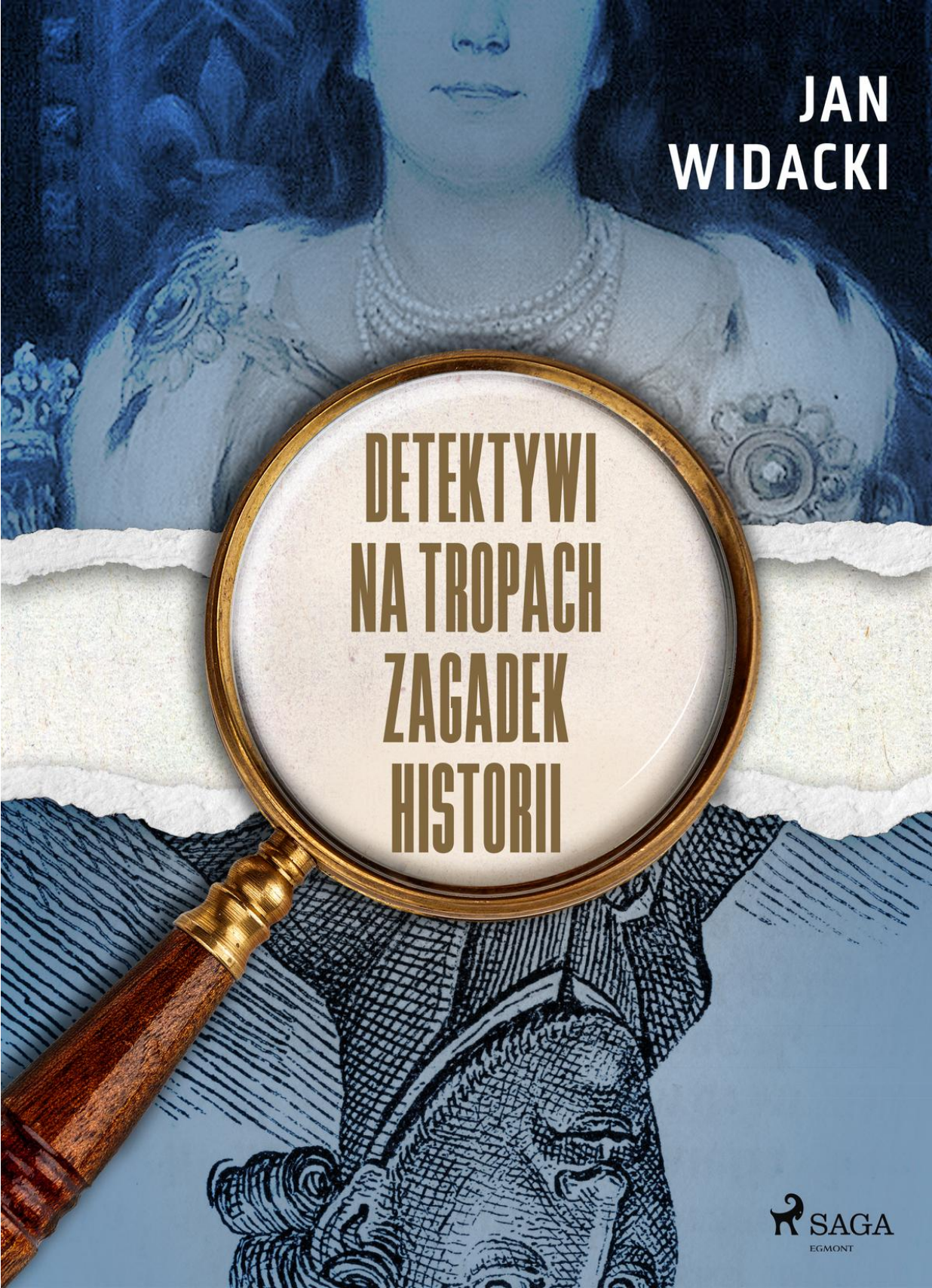




**JAN
WIDACKI**

**DETEKTYWI
NA TROPACH
ZAGADEK
HISTORII**



**JAN
WIDACKI**

**DETEKTYWI
NA TROPACH
ZAGADEK
HISTORII**

 **SAGA**
EGDMONT

Jan Widacki

Detektywi na tropach zagadek historii

Saga

Detektywi na tropach zagadek historii

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1988, 2021 Jan Widacki i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726890181

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Wstęp

Zadaniem praktycznej działalności kryminalistyka — jak dziś nazywa się detektywa — jest identyfikowanie człowieka poprzez badanie śladów jego działalności. Taka jest istota wyszukiwania sprawcy przestępstwa i zbierania dowodów jego winy. Kryminalistyka interesuje się więc możliwościami identyfikacji człowieka, który popełnił przestępstwo.

W działalności praktycznej polega to na wyszukiwaniu śladów pozostawionych w przeszłości — czyli w momencie popełniania przestępstwa — przez sprawcę. Następnym krokiem, jest rekonstruowanie, w oparciu o wyszukane ślady, przebiegu przestępstwa. A zatem, w oparciu o aktualnie spostrzegane ślady, kryminalistyk rekonstruuje pewien wycinek przeszłości. Szerokość tego wycinka, jego zakres podmiotowy i przedmiotowy określa zwykle prawo. Kryminalistyk korzysta w praktyce z wielu różnych śladów, których klasyfikacją w oparciu o różne kryteria zajmuje się teoria kryminalistyki. Korzysta więc kryminalistyk ze śladów substancjalnych, jakimi są różnego rodzaju plamy, odciski czy odblaski, tak palców jak narzędzi, drobne cząstki materii, jakimi są pyłki kwiatów czy mikrowłókna różnych tkanin. Korzysta ze śladów zapachowych, którymi zajmuje się dział identyfikacji zwany odorologią lub olfaktoniką. Bada ślady w postaci pisma ręcznego czy podpisu. Ślady dźwiękowe, jakimi są różne zapisy dźwięków (np. magnetyczny zapis głosu ludzkiego). Bada ślady pamięciowe, zapisane w pamięci świadków, a nawet ślady emocjonalne.

Do wyszukiwania tych śladów, ich ujawniania, zabezpieczania do dalszych badań, wreszcie samego badania, służą współczesnemu detektywowi rozbudowane działy identyfikacji kryminalistycznej: daktyloskopia, mechanoskopia, grafologia sądowa, fonoskopia, i wiele, wiele innych. Stosują one różne skomplikowane, wymagające nowoczesnej aparatury metody badań. Metody te albo kryminalistyka wypracowuje sobie sama, albo korzysta z metod wypracowanych w innych dziedzinach ludzkiej wiedzy: w chemii, biologii, fizyce, psychologii — i jedynie adaptuje je do swoich potrzeb.

Ale aby wszystkie te działy identyfikacji wprząc do rozstrzygania jakiejś zagadki kryminalnej, aby wszystkie one zaczęły z sobą współdziałać, aby wyniki ich wzajemnie się uzupełniały, ktoś musi układać plan śledztwa, budować wersje i dawać hipotezy, nad których weryfikacją, pracować będą laboratoria kryminalistyczne.

Do techniki dodać trzeba jeszcze taktykę. Dziś genialnego detektywa z XIX-wiecznej powieści kryminalnej zastąpiły zespoły detektywów; i tych, którzy budują owe wersje i hipotezy śledcze, i tych, którzy w laboratoriach badają ślady i wyciągają z nich wnioski, które wersje te weryfikują.

Praca historyka też jest pracą detektywa. Historyk też — podobnie jak kryminalistyk — poznaje zdarzenia przeszłe, które nie są mu dane bezpośrednio w poznaniu. Poznając je i opisując rekonstruuje więc przeszłość. Podstawą owej rekonstrukcji są ślady tej przeszłości dostępne badaczowi w teraźniejszości. Bada relacje zdarzeń notowane w różnych kronikach, pamiętnikach, diariuszach. Czytając je, musi postępować tak jak kryminalistyk, który słucha zeznania świadka: musi ocenić wiarygodność autora relacji, jego motywacje, stosunek do opisywanej rzeczywistości. Musi sprawdzić, czy jest ona zgodna z relacją innego świadka

zdarzeń, czy jest zgodna z innymi „śladami” pozostałymi po opisywanym zdarzeniu.

Studiując stare dokumenty historyk musi nieraz, podobnie jak kryminalistyk, ustalić czy są one autentyczne, sprawdzić czy nie zostały podrobione lub przerobione. Bada też czasem historyk materialne ślady zdarzeń przeszłych.

Istota tych śladów jest identyczna jak śladów kryminalistycznych: jest to jakaś pozostałość po zdarzeniu przeszłym i to pozostałość tego rodzaju, że pozwala nam to zdarzenie przeszłe w całości bądź w jakiejś tylko części zrekonstruować.

Kryminalistyka rekonstruuje zdarzenia z niedalekiej przeszłości. Terminy przedawnienia podane przez kodeksy karne wyznaczają granice czasowe zainteresowań kryminalistyki. Czasem tylko ta granica decyduje o tym, czy badany problem, rozwiązywana zagadka jest jeszcze zagadką kryminalną czy już historyczną. Czy jej rozwiązaniem zainteresowany jest jeszcze sąd, czy już historyk. A metody wyjaśniania pozostają na ogół te same. Opisywana w książce sprawa szkieletów ludzkich niewiadomego pochodzenia, odkrytych w 1913 na Wawelu, jest kapitalnym tego przykładem.

Z uwagi na cel, jaki rekonstrukcji kryminalistycznej przyświeca — a jest nim ustalenie sprawcy przestępstwa i udowodnienie mu winy — musi ona być z reguły bardzo szczegółowa.

Historia rekonstruuje zdarzenia od czasów najdawniejszych aż po współczesne. Rekonstruuje na ogół szersze niż kryminalistyka fragmenty przeszłości, za to z reguły z mniejszą szczegółowością. Według innego kryterium dobiera też przedmioty swych badań.

Zdarza się czasem, że dla odtworzenia jakiegoś, interesującego z historycznego punktu widzenia, wycinka

przeszłości, sięga się do metod i środków wypracowanych przez kryminalistykę lub pokrewną jej medycynę sądową.

Teoretycznie, każda metoda identyfikacji kryminalistycznej może być wykorzystana w badaniach historycznych. Oczywiście, sięganie do tych metod nie zawsze jest potrzebne i celowe. Nie zawsze też metody te są w stanie sprostać potrzebom i oczekiwaniom historyka. Mają przecież one — jako metody przyrodnicze — swoją określoną i ograniczoną wydolność. Pamiętać o tym musi każdy, kto chce z nich korzystać. Przecenianie tych metod prowadzić może do efektów znacznie gorszych niż ich niedocenianie.

Lata współpracy z wymiarem sprawiedliwości, znajomość metodologii nauk przyrodniczych, a nadto własne badania nad wydolnością metod, wykształciły na gruncie kryminalistyki i medycyny sądowej specyficzne zasady opiniowania. Opiniując dla potrzeb procesu sądowego, kryminalistyk czy medyk sądowy na postawione mu przez sąd pytanie może odpowiedzieć „tak”, „nie” lub „nie wiem”. Tu, gdzie przyrodnik musi powiedzieć „nie wiem”, historykowi zapewne wolno snuć hipotezy.

Kryminalistyk posługiwać się będzie czasem zwrotami „nie da się wykluczyć, że...”, „nic nie sprzeciwia się przyjęciu, że...”, „brak podstaw do twierdzenia, że...” itp. Odbiorca takiej opinii, a jest nim z reguły sąd, a tylko wyjątkowo historyk — zwykle oczekuje odpowiedzi bardziej kategorycznej, że „coś jest”, albo że „coś nie jest”. Stojąc na gruncie nauk przyrodniczych, opiniodawca często takiej kategorycznej odpowiedzi dać nie może, jeśli chce pozostać w zgodzie z własną dyscypliną i co ważniejsze, z własnym sumieniem.

Przy całej jednak ograniczonej wydolności metod przyrodniczych, stosowanych w kryminalistyce i medycynie sądowej, metody te bywają nieraz dla historyka pomocne.

Zdarza się więc, że do rozwiązania zagadki historycznej angażuje się kryminalistyków, medyków sądowych czy przedstawicieli innych jeszcze dyscyplin przyrodniczych. Ich badania, metody instrumentalne, wreszcie sposób podejścia do problemu nieraz były już historii użyteczne. Nieraz pozwoliły na dokonanie ustaleń, nieosiągalnych na innej drodze. Ale też te ustalenia wymagały zawsze interpretacji historycznej. Tak więc przyrodnik ustalał fakty, historyk interpretował je na szerszym, historycznym tle. Przyrodnik nieraz pomagał przy rozstrzyganiu problemów historycznych, nigdy ich nie rozstrzygał sam. Jeśli próbował to czynić, wykraczał poza granice swoich kompetencji. Działał nie jako przyrodnik, ale jako historyk-amator.

W książce tej opisane będą przypadki, w których kryminaliści i medycy sądowi, a więc jak się ich czasem nazywa „detektywi-naukowcy” swoimi metodami ustalali fakty istotne dla interpretacji historycznej. Czasem ich ustalenia miały znaczenie pierwszorzędne, czasem zaspokajały tylko ludzką ciekawość, rozstrzygając o faktach dla nauki historii drugorzędnych. Nie zawsze też potrafili utrzymać się w rygorach swych kompetencji i ponoszeni emocjami próbowali przejąć role historyków. Nie bierzmy im tego za złe; byli tylko ludźmi, których emocje i wyobraźnię pobudzał niezwykle dla nich materiał badawczy.

Niezwykły, bo na co dzień stykali się ze zbrodnią, z tym, co w życiu społeczeństwa jest najpodlejsze i najniższe. Z potrzeby ich psychiki, potrzeby ich humanizmu płynęła chęć kontaktu z tym, co wielkie i piękne. Szukali więc nieraz sami zagadek, do rozwiązywania których mają przecież odpowiednie środki, ale zagadek, z których rozwiązaniem wyjątkowo tym razem łączyć się będzie nie ujęcie i ukaranie przestępcy, ale poznanie wycinka dziejów ojczystych.

Badania takie chętnie podejmowali najwięksi w naszych dziejach detektywi-uczeni: i Leon Wachholz i Jan Olbrycht. Profesorowie medycyny sądowej europejskiego formatu.

Na kartach tej książki przedstawiono wybór różnych zagadek historycznych, w których rozwiązanie zaangażowani byli kryminaliści bądź medycy sądowi. Wybór jest zawsze tylko wyborem. Wiele przypadków w nim pominięto. Ale celem tej książki nie jest pełne, wyczerpujące przedstawienie kazuistyki badań historycznych prowadzonych z udziałem medyków sądowych czy kryminalistyków.

Chciałbym, aby jej lektura, ukazując różne zagadki i tajemnice naszych dziejów, zachęciła do bliższego i pełniejszego ich poznania. Uprzedzam jednak, że nie jestem historykiem. Na co dzień zajmuję się kryminalistyką. Jeśli więc ktoś zdecyduje się na wycieczkę po historii pod moim przewodnictwem, ponosi pewne ryzyko. Ja bowiem, na historię patrzę przez pryzmat mojego zawodowego skrzywienia. Myślę jednak — i tak się pocieszam — że skrzywienie to nie zniekształca oglądanego obrazu, a tylko zwraca uwagę w pierwszej kolejności na inne jego elementy niż czyni się to na ogół. Wierzę, że nie każdemu takie spojrzenie na historię odpowiada. Dlatego też ostrzegam. Czytelnikowi mogę pokazać historię tylko od tej strony, od której sam na nią patrzę.

Opisane w tej książce przypadki ułożone są chronologicznie, ale nie według kolejności badań, a według kolejności badanych zdarzeń.

Zaczynamy więc od średniowiecza i poprzez czasy nowożytne dochodzimy do współczesności.

Każdy rozdział książki stanowi odrębną całość i dlatego lekturę można rozpocząć w dowolnym miejscu.

Jan Widacki

Największa zagadka polskiego średniowiecza

Na samym początku dziejów Polski, u schyłku XI wieku rozegrał się w Krakowie dramat, słusznie nazwany później przez Ludwika Gumpłowicza „największą zagadką polskiego średniowiecza”. Bohaterami dramatu byli: król Bolesław II Śmiały i biskup krakowski Stanisław. Na dobrą sprawę nie wiadomo nic pewnego o genezie tego dramatu ani o jego przebiegu. Znany jest jedynie finał: biskup poniósł śmierć męczeńską, został uznany świętym i ogłoszony patronem Polski. Król musiał uchodzić z kraju.

Co było w pierwszym akcie dramatu? — co w drugim? Jak narastała akcja zanim doszło do znanego finału? Od wieków próbują dociec tego historycy, przedstawiają swoje wizje poeci. Od wieków też, sprawa budzi nie gasnące namietności. Znakomity znawca epoki, autor wielotomowego *Bolesława Chrobrego*, Antoni Gołubiew słusznie zauważył, że „spór między Bolesławem Śmiałym a biskupem Stanisławem nie skończył się ze śmiercią świętego i wygnaniem, czy też ucieczką króla w 1079 r., lecz ciągnie się przez wieki aż do czasów dzisiejszych”. Ciągnie się i intryguje, zarówno przez swą tajemniczość, podniecającą wyobraźnię poetów i budzącą ciekawość zwykłych śmiertelników, jak i przez relację do wydarzeń współczesnych.

Przez całe średniowiecze i czasy nowożytne, św. Stanisław otoczony był powszechną czcią. Kult tego świętego odegrał ważną rolę w dziele zjednoczenia państwa polskiego po okresie rozbitcia dzielnicowego. Jego żywoty,

pisane między innymi przez Jana Długosza i Piotra Skargę, Czytywane były powszechnie, a treść ich przyjmowano bez zastrzeżeń. Wedle zawartej w tych żywotach tradycji, biorącej swój początek od Wincentego Kadłubka, biskup Stanisław napominał króla za jego rozwiązłość i okrucieństwo wobec poddanych. Ponieważ napomnienia nie skutkowały, zagroził na koniec królowi klątwą. Król — jak pisze Kadłubek — „jak był zwrócony w stronę nieprawości, w dzikszę popadł szaleństwo [...] Rozkazał więc przy ołtarzu, w infule, nie ukazując uszanowania ani dla stanu, ani dla chwili — porwać biskupa! Ilekroć okrutni służalcy próbują się rzucić na niego, tylekroć skruszeni, tylekroć na ziemię powaleni łagodnieją. Wszak tyran, lżąc ich z wielkim oburzeniem, sam podnosi świętokradzkie ręce [...] Sam zabija [...] Świętego bezbożnik, miłosiernego zbrodniarz, biskupa niewinnego najokrutniejszy świętokradca rozszarpuje, poszczególne członki na najdrobniejsze części rozszarpuje, poszczególne członki na najdrobniejsze części rozsiekuje [...]”.

Do dziś, w kościele na krakowskiej Skałce pokazują na ścianie przykryte szkłem ślady krwi świętego, zaś w gablocie na ołtarzu, kłoc drzewa, na którym rozsiekane miało być jego ciało.

Kult świętego Stanisława obejmował wszystkie stany. Do ceremoniału koronacyjnego królów polskich należało przejście z Wawelu na Skałkę i tam, przed ołtarzem św. Stanisława, przeproszenie za grzech „przodka swego Bolesława”. Dwóch tylko królów nie dopełniło tego obowiązku, bo koronowało się w Warszawie...

Istniał też — jak się zdaje — przesąd, że nikt noszący imię męczennika nie zasiądzie na stolicy biskupiej w Krakowie. Gdy biskup płocki Stanisław Łubieński zabiegał o biskupstwo krakowskie, Zygmunt III oświadczył mu wprost, że „po św. Stanisławie, żaden Stanisław na katedrze

krakowskiej zasiąść nie może”. Nie był to chyba tylko przesąd Zygmunta III Wazy, który pomawiany ustawicznie przez szlachtę o dążenie do *absolutum dominium*, mógł się obawiać, że w parze z nowym biskupem Stanisławem może zbyt łatwo podzielić los Bolesława Śmiałego. O trwalszej podstawie owego przesądu świadczy inskrypcja łacińska na świeczniku wiszącym niegdyś w katedrze wawelskiej („Sic Stanislai non sedit seda secundas...”). Być może, przesąd dotyczył nie tylko stolicy biskupiej i warto zwrócić uwagę, że żaden z licznych Piastowiczów ani Jagiellończyków nie został ochrzczony imieniem patrona Ojczyzny. Było za to dwóch elekcyjnych królów noszących imię świętego biskupa: Leszczyński i Poniatowski. Obydwaj — i tylko oni — koronowani byli nie na Wawelu a w Warszawie, przy koronacji na Skałkę nie poszli, za grzech „przodka swego Bolesława” nie przeprosili, za to panowali nieszczęśliwie, abdykowali, zmarli na obczyźnie i pochowani zostali w obcej ziemi. Jak tu nie być przesądnym?

Przez całe stulecia modlono się do św. Stanisława i proszono go o orędownictwo w różnych trudnych sprawach państwowych. Temu orędownictwu przypisywano między innymi zwycięstwa nad Krzyżakami (tak pod Płowcami, jak i pod Grunwaldem). U jego grobu w katedrze wawelskiej zwycięscy królowie i hetmani wieszali zdobyte na wojnach trofea. Budowano wiele świątyń pod jego wezwaniem. Był więc św. Stanisław patronem katedr: wileńskiej, mińskiej i halickiej. Imię Stanisław u schyłku polskiego średniowiecza — jak wyliczył prof. Bystroń — należało do czterech najpopularniejszych imion w Polsce (obok Mikołaja, Jana i Piotra). Popularność tego imienia wśród ludu trwała nieprzerwanie aż do upadku państwa, przetrwała zabory, dotrwała do czasów nam współczesnych. Dopiero ostatnio ustąpił Stanisław miejsca różnym Sebastianom, Mariuszom i Dariuszom.

Tak więc przez kilkaset lat trwał w Polsce kult św. Stanisława, który — jak słusznie zauważył jeden z najlepszych znawców zagadnienia, prof. Marian Plezia — „splatał się w jedno z polskim poczuciem narodowym i państwowym”. Stan taki trwał do końca I Rzeczypospolitej. Dopiero odkrycie z końcem XVIII wieku, przez Tadeusza Czackiego, starszego, nieznanego dotąd odpisu kroniki Galla Anonima, wywołało nie lada sensację i zapoczątkowało rewizję poglądów co do osoby świętego biskupa. Czacki bowiem, jako pierwszy w czasach nowożytnych, przeczytał tekst, który do dziś jest źródłem najzacieklejszych sporów i wzajemnie wykluczających się hipotez. Tekst zaczynający się od słów: „Qualiter antem rex Boleslaus de Polonia sit eiectus, longum existit enarrare...”, a zawierający dotyczące świętego określenia: *traditor*, *traditione* i *traditorem*. Ten fragment tekstu, w przekładzie Romana Grodeckiego brzmi: „Jak zaś król Bolesław został z Polski wyrzucony, dużo byłoby o tem do opowiadania, lecz to powiedzieć wolno, że nie powinien był pomazaniec na pomazańcu jakiegokolwiek grzechu cielesnie mścić. To bowiem wielce mu zaszkodziło, gdy przeciw grzechowi grzech zastosował, gdy za zdradę wydał biskupa na obcięcie członków. Ani bowiem zdrajcy biskupa nie usprawiedliwiamy, ani króla mszczącego się tak szpetnie nie zalecamy — lecz tu w środku poniechajmy i opowiedzmy, jak został przyjęty na Węgrzech”.

A więc czczony przez wieki święty był zdrajcą? Czacki nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Píše o odkrytym przez siebie tekście najstarszej kroniki polskiej: „św. Stanisław wystawiony jest na zdrajcę kraju. Miał znowę z Czechami”. Powtórzył to, opatrując stosowną uwagą odpowiedni fragment wydawanej przez siebie *Historyi narodu polskiego* Naruszewicza (1803): „Marcin Gallus w tym rękopisie [...] wyraźnie mówi, że Stanisław

biskup miał zмовy z Czechami". Jerzy Samuel Bandtkie słusznie zwrócił uwagę, że „co Czacki o św. Stanisławie powiedział [...] niekoniecznie tak stoi w rękopisie Marcina Gallusa” — bowiem jako żywo Gall nic o zмовie świętego z Czechami nie wspomina, ani nawet czegoś takiego nie sugeruje. Nie pomogło też to, że Lelewel udowodnił, iż wyraz *traditor* został niezupełnie ściśle przetłumaczony na „zdrajca” zamiast na „przeniewierca”, czyli nie dochowujący wiary. Ta drobna na pozór różnica filologiczna pociągała za sobą doniosłe konsekwencje: „zdrada” — kojarzona jest ze zdradą kraju, ojczyzny, „przeniewierstwo” — dotyczy jedynie niedochowania wiary osobie.

Tak czy owak, wywodząca się od Kadłubka, a powtórzona przez pisarzy tej miary co Długosz czy Skarga, wersja tragicznych wydarzeń roku 1079, została zakwestionowana.

Od tego czasu istnieją dwie wersje zdarzeń, z których jedna — najogólniej rzecz ujmując — bierze początek z interpretacji tekstu Galla, oraz druga, która zapoczątkowana została przez Kadłubka. Obie wersje były przedmiotem licznych dociekań, dyskusji i sporów. Ale prawdziwa burza rozpętała się dopiero z początkiem XX stulecia. W 1904 r. profesor Uniwersytetu Lwowskiego, Tadeusz Wojciechowski opublikował *Szkice historyczne XI wieku*. Jeden z nich nosił tytuł *Faktum biskupa Stanisława*. W szkicu tym, Wojciechowski problem uznał za rozstrzygnięty ostatecznie, zatem z naukowego punktu widzenia za zakończony. Napisał: „Stwierdzenie wiarygodności Galla rozstrzyga już sprawę Stanisława; a gdy kronika mówi o zdradzie biskupa w bezpośrednim związku z faktem wyrzucenia Bolesława z Polski, przeto wiemy co jest: nie było tu żadnych interesów kościelnych ani moralnych, lecz tylko świeckie, dynastyczne. Nazwał też Gallus uczynek Stanisława «grzechem», albowiem biskup

złamał przysięgę wierności, którą ślubował Bolesławowi, kiedy brał od niego inwestyturę”.

Wbrew temu, co sądził Wojciechowski, spór wokół problemu nie tylko że nie został zakończony, ale przeciwnie, rozgorzał teraz z większą niż kiedykolwiek zaciętością.

Analizując tekst Galla, Wojciechowski stworzył swoją spójną i konsekwentną (co jednak nie znaczy, że prawdziwą) wersję zdarzeń. Można by ją streścić w dwóch punktach: przeciw Bolesławowi spiskował młodszy brat, Władysław Herman. Biskup stanął po stronie spiskującego juniora i jako zdrajca został skazany na obcięcie członków. Ten punkt da się wyinterpretować z Galla. Gorzej z punktem drugim: Herman, a więc i biskup Stanisław spiskowali przeciw władcy w porozumieniu z Wratysławem czeskim, popiecznikiem cesarza Henryka IV. Po śmierci biskupa, w 1079 r. najazd czeski obalił Bolesława i ułatwił tym samym objęcie tronu przez Władysława Hermana. *Szkice* Wojciechowskiego, świetnie literacko napisane, czytane były powszechnie. Ich sugestywność, a zarazem stanowczość twierdzeń i konsekwencja wywodów sprawiły, że przez współczesnych odebrane zostały jako ostatnie słowo nauki, rozprawiające się z dotychczasową tradycją, opartą jedynie — jak sądzono za Wojciechowskim — na „pełnej zmyślań” *Kronice* Kadłubka.

Po raz pierwszy w historiografii, Wojciechowski przeciwstawił w osobach bohaterów dramatu silne państwo i Kościół. Efektem zdrady biskupa, był — jak dowodził — upadek nie tylko silnego i pełnego zasług władcy, ale też na długie lata upadek państwa. Następny — po Bolesławie Śmiałym — władca, koronę królewską włożył na skronie dopiero po dwustu z górą latach. Łatwo sobie wyobrazić, jakie emocje u ogółu Polaków wywołać musiała lektura *Szkiców* — które ukazały się przecież w dobie, kiedy tęsknota za niepodległym państwem sięgała swych

szczytów. W dobie, kiedy po latach zaczynał się budzić czyn niepodległościowy. Od tej pory św. Stanisław — dotąd patron Ojczyzny, symbol jej jedności, któremu przypisywano pomoc we wszystkich sukcesach militarnych stał się „świętym antypaństwowym”. Na długie lata „miecz i pastorał” stały się symbolem stanowisk tragicznego konfliktu. Konfliktu między władzą państwową a Kościołem.

Szkice wywołały niespotykaną w dziejach polskiej historiografii polemikę. Spór, który swoją zaciętością, zasięgiem i długotrwałością przewyższył wszystkie inne — „spór o św. Stanisława”. Prowadzono go nie tylko w gronie naukowców, ale na łamach prasy codziennej, ba, w każdym środowisku, w każdym niemal polskim domu. Jak słusznie zauważył prof. M. Plezia, „taki lub inny pogląd na «sprawę św. Stanisława» stawał się nieomal automatycznie legitymacją świadczącą o stanowisku politycznym i światopoglądowym tego, który go wygłaszał”. Spór ten dzielił ludzi na tych, którzy opowiadali się za „mieczem” i na tych, którzy tym zacieklej bronili „pastorału”. Przeciwnicy też Wojciechowskiego, ze znakomitym historykiem St. Smolką na czele, zgrupowali się wokół krakowskiego „Przeglądu Powszechnego”. Nie dorównywali oni jednak talentem pisarskim autorowi *Szkiców*, nie potrafili pisać tak sugestywnie i tak przekonująco jak on. Ich polemika była żarliwa, argumenty nie zawsze jednak przemyślane do końca. Na polemikę „Przeglądu Powszechnego” Wojciechowski odpowiedział z pasją artykułem *Plemię Kadłubka*. Przyznać trzeba, że tę rundę sporu wygrał.

Przez cały okres międzywojenny, podana przez Wojciechowskiego wersja wypadków z końca XI wieku uchodziła w nauce za obowiązującą, z jedną však poprawką: nie zaakceptowano w historiografii tezy o udziale Czechów, czy w ogóle kogokolwiek z postronnych,

w spisku i obaleniu Śmiałego. Teza ta — być może zasugerowana Wojciechowskiemu przez Czackiego — nie miała żadnego oparcia w źródłach i została wydedukowana jedynie z ogólnej sytuacji europejskiej. Fakt odrzucenia tezy o udziale państw obcych i ograniczenie rozmiarów sporu biskupa z królem do wewnątrzpolskiego jedynie konfliktu, z czasem miały obalić całą koncepcję autora *Szkiców*. Na razie tego jeszcze nie dostrzegano, a uwagę pochłaniały kolejne polemiki, dotyczące drugorzędnych dla sprawy źródeł. Rozgorzał spór o to, czy romańska chrzcielnica z Tryde w Szwecji, na której są przedstawione sceny z legendy o św. Stanisławie, pochodzi z XII wieku czy z XIII? Przyjęcie tej pierwszej hipotezy, znaczyłoby, że kult świętego istniał na długo nie tylko przed kanonizacją, ale i przed Kadłubkiem, którego Wojciechowski uważał za twórcę tego kultu. Nawiasem mówiąc, spór o czas powstania chrzcielnicy nie tylko nie został rozstrzygnięty, ale skomplikował się jeszcze bardziej: podniesiono bowiem wątpliwości, czy wyobrażone na niej sceny rzeczywiście dotyczą św. Stanisława. Drugą sensacją z tego zakresu w okresie międzywojennym, było odniesienie przez Mieczysława Gębarowicza bulli papieża Paschalisa II, pisanej do nieznanego z imienia arcybiskupa, do sprawy św. Stanisława. Otóż, papież pisząc ten list do jakiegoś arcybiskupa metropolity, przy okazji wspomina, że poprzednik arcybiskupa, potępił lub skazał (tak tłumaczy się łacińskie *damnavit*) bez wiedzy Stolicy Apostolskiej jakiegoś biskupa. Niektórzy autorzy, przyjęli za M. Gębarowiczem, że list ten dotyczy spraw polskich, zaś opisane w nim fakty czasowo odpowiadają śmierci św. Stanisława. Wobec tego wyciągają oni wniosek, że arcybiskup gnieźnieński sądził jakiś postępek biskupa Stanisława, bądź też uczestniczył w takim sądzie wraz z królem i że w tym procesie zapadł wyrok skazujący.

Jednakże list ten, zachowany jedynie w znacznie późniejszym odpisie, niedatowany (jedyne, co pewnego w tej sprawie można powiedzieć, to tyle, że musiał być pisany przed 1118 r. — wtedy bowiem zmarł Paschalis II), jak wykazują nowsze badania, adresowany był do arcybiskupa z Kalocsa na Węgrzech (archiepiscopo Coloniensi), zaś późniejszy kopista *Coloniensi* zamienił na *Poloniensi*.

Wszystkie te ustalenia nie kwestionowały wersji Wojciechowskiego, która dalej uchodziła za obowiązujące stanowisko nauki polskiej w „sprawie św. Stanisława”. Wersja ta tak dalece utrwalała się w polskiej świadomości historycznej, że powtarzało ją w najlepszej wierze jeszcze przez wiele lat (a zdarza się, że powtarza i dziś) wielu publicystów i pisarzy, w tym także takich, którzy jak np. Paweł Jasienica, ściśle związani byli z kręgami katolickimi.

Spór o św. Stanisława toczył się nadal. W nowych warunkach społecznych i ustrojowych po ostatniej wojnie nabrał nowych wymiarów symbolicznych. Stanowisko Wojciechowskiego zakwestionowane w jednym — jak mogłoby się zdawać, drugorzędnym — punkcie dotyczącym obcej interwencji w obaleniu Śmiałego, straciło jednak całą swą logiczną spójność. Jeśli nie było obcej interwencji, to na czym polegać miała „zdrada” biskupa? Co właściwie legło u podstaw konfliktu z królem? Dlaczego po śmierci biskupa król musiał uchodzić z kraju? Może więc Gallowego *traditor* nie należy tłumaczyć na „zdrajca”? Może rację miał Lelewel?

Po kilkudziesięciu latach spór o św. Stanisława powrócił do punktu wyjścia. Coś, co wydawało się być wyjaśnione do końca, znów okazało się zagadką, „największą zagadką polskiego średniowiecza”. Karolina Lanckorońska próbowała wyjaśnić tę zagadkę w duchu sugerowanym kiedyś przez Wyspiańskiego, który o królu i biskupie powiedział:

To nie byli ludzie mali —

nie o głupstwa walczyli —

Walczyły dwa duchy, o rzeczy wielkie.

Lanckorońska nie wini żadnej ze stron konfliktu, uważając, że obie działały w dobrej wierze. Sądzi ona, że Stanisław był biskupem obrządku słowiańskiego, król wprowadzał obrządek łaciński i to było źródłem konfliktu. Teza ta została przez krytykę odrzucona, jako nieudokumentowana. Rozpowszechnił ją jednak J. Roszko w swoim popularnym szkicu *Pomazaniec przeciwko pomazańcowi* w którym — podobnie jak Jasienica — przyjął równocześnie bez zastrzeżeń, jako alternatywną, koncepcję Wojciechowskiego. Inną oryginalną teorię ogłosił prof. Witold Sawicki, który rozwinął zgłaszane już przed wojną przez S. Zakrzewskiego przypuszczenie co do choroby psychicznej króla, jako przyczyny konfliktu z biskupem, a na koniec upadku monarchy. O tezie tej będzie jeszcze mowa później.

Najpoważniejszą jednak zmianą, jaka zaszła w naszej historiografii ostatnich lat, jest zmiana stosunku do *Kroniki* Kadłubka. *Kronika* ta, w literaturze pierwszej połowy XX wieku oceniana nadmiernie krytycznie, jako mało wiarygodna, dziś została, jak się zdaje, ostatecznie zrehabilitowana. Umiejętność oddzielenia w niej warstwy historycznej od dydaktyczno-moralizatorskiej, czyni z *Kroniki* na powrót cenne źródło historyczne. Jeden z najlepszych znawców problemu, prof. T. Grudziński, w wydanej ostatnio książce *Bolesław Śmiały-Szczodry i biskup Stanisław* (Warszawa 1982) powie wprost: „do sprawy św. Stanisława muszą być wykorzystane dwa główne źródła pisane: *Kronika* Anonima Galla i *Kronika* Mistrza Wincentego”. Do słów tych dodać trzeba słowa Antoniego Gołubiewa: „Niestety trzeba liczyć się z faktem, że wielu

nowych źródeł się nie odkryje i że nie da się obiektywnie ówczesnych wypadków odtworzyć”.

Jeśli *Kroniki* Galla i Kadłubka potraktować jako dwa podstawowe źródła wiadomości o owych tajemniczych wydarzeniach roku 1079, okaże się, że źródła te, w dużej mierze wzajemnie się uzupełniają. Czego Gall mówić nie chce, to Kadłubek chętnie opowiada. W znacznej mierze obydwie źródła są więc jeśli nawet nie zgodne, to w każdym razie niesprzeczne. Co do jednego — powiedzmy od razu — ważnego szczegółu relacje obydwu kronikarzy niestety zgodne nie są. Z powściągliwego opisu Galla wyinterpretować raczej można, że biskup zginął w wyniku wykonania na nim wyroku. Czy wyrok był słuszny, czy też nie, to inna sprawa. Królowie w XI wieku wyroki takie wydawali, ale przecież nie wykonywali ich osobiście! Kadłubek tymczasem opowiada, że zabójstwa dokonał własnoręcznie Bolesław. Komu wierzyć? Analiza tekstów obydwu *Kronik* kwestii tej nie rozstrzygnie. Na nowe źródła pisane liczyć nie można. Ks. Stanisław Bełch, który badaniom „sprawy św. Stanisława” poświęcił wiele lat swojego życia, na początku lat 60-tych zasugerował ówczesnemu wikariuszowi kapitulnemu bp. Karolowi Wojtyłce celowość zbadania relikwii czaszki św. Stanisława.

Konieczność skorzystania przez historyków z pomocy przedstawicieli innych nauk przy wyjaśnieniu „największej zagadki polskiego średniowiecza” postulowano już dawno. W 1906 roku, na łamach „Przeglądu Historycznego” Ludwik Gumplowicz — niegdyś nie dopuszczony do habilitacji na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, wówczas już jeden z najwybitniejszych socjologów świata, a przy tym znawca i miłośnik historii Polski — zabrał głos w sprawie św. Stanisława. Artykuł zakończył słowami: „widzimy, że pole badań w tej sprawie nie jest zamknięte; być może, że zadanie historyków jest już załatwione; teraz kolej na

psychologów i socjologów”. W kilkadziesiąt lat później — w 1962 r. — inny historyk, znakomity znawca problemu, prof. Witold Sawicki znów wezwał do skorzystania z takiej pomocy. Uznał, że głos powinna tu zabrać „psychologia, medycyna, nauka historii prawa”, a więc dyscypliny, które w kwestii sprawy św. Stanisława „nie wypowiedziały ostatniego słowa”.

Nic też dziwnego, że ks. bp. Wojtyła przyjął sugestię ks. Bełcha i zlecił zbadanie czaszki św. Stanisława specjalistom z zakresu medycyny sądowej.

Warto przy tej okazji wspomnieć, że na wiele lat przed ks. Bełchem, zbadanie tej relikwii postulował... Tadeusz Wojciechowski.

Dnia 9 czerwca 1963 r., jeden z najznakomitszych polskich medyków sądowych wszystkich czasów, prof. Jan S. Olbrycht, kierownik najstarszego polskiego Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie, wraz z dr. Marianem Kusiakiem, przeprowadzili badania czaszki św. Stanisława, przechowywanej w relikwiarzu w katedrze wawelskiej. Relikwia ta czczona była w Krakowie co najmniej od czasów kanonizacji w XIII wieku. Od 1504 r. spoczywa w pięknym relikwiarzu, fundacji królowej Elżbiety Rakuszanki (żony Kazimierza Jagiellończyka). W przeszłości czaszka była kilkakrotnie oglądana. Oglądano ją już u schyłku XIV stulecia, a efektem tych oględzin zdaje się być wzmianka w *Roczniku mansjonarzy krakowskich*, że król uderzył św. Stanisława mieczem w głowę. Szczegóły takiego nie podał nawet Kadłubek, a znalazł się on później we wszystkich żywotach świętego. W maju 1478 r. otwarcia relikwiarza i oględzin czaszki dokonali kanonicy kapituły krakowskiej. Stało się to z powodu pogłoski, że z katedry pokradziono relikwie. Oględziny wykazały, że czaszka spoczywa na swoim miejscu.

W 1881 r., wizytując katedrę krakowską, bp Albin Dunajewski otwierał relikwiarz i oglądał czaszkę. Zwrócono wówczas uwagę na „szramę w tylnej części czaszki” i uznano ją jako ślad po uderzeniu ostrym narzędziem. Informację tę przedrukował krakowski „Czas tak że stała się ona powszechnie znaną. Wspominając te oględziny, T. Wojciechowski wyraził później w swych *Szkicach* żal, że oględziny wykonane były niefachowo, bowiem zabrakło przy nich „fachowca antropologa. Teraz, w 1963 r. miano uczynić zadość życzeniom Wojciechowskiego, wątpić jednak należy, czy wynik fachowego badania czaszki byłby po myśli autora *Szkiców* ale nie uprzedzajmy wypadków.

Po przeprowadzeniu badań, 9 czerwca 1963 r., biegli medycy sądowi sporządzili szczegółowy protokół, kończący się *Opinią*. W *Opinii*, biegli napisali m.in.: [...] „Na powierzchni zewnętrznej kości czaszki są widoczne tu i ówdzie nieregularne, różnej wielkości ubytki blaszki zewnętrznej, głównie w kości czołowej i ciemieniowej prawej, odsłaniając substancję gąbczastą. Widać również w kości czołowej i potylicznej nieregularne okrągławe ubytki drążące przez całą grubość tychże kości [...]”. Biegli stwierdzili też „dwie smugi, ułożone na kościach ciemieniowych, wyglądem przypominające zawalenie ziemią”. Czaszka zdaniem biegłych należała do mężczyzny, którego wiek określili na ok. 40 lub ponad 40 lat. Najistotniejszy bodaj punkt opinii dotyczy śladów obrażeń: „stwierdza się na czaszce zmiany w postaci wgnieceń (impressiones) blaszki zewnętrznej kości, jednak przy braku uszkodzeń wgniecionej blaszki oraz bez włamania i złamania w tych miejscach kości. Najdłuższe i najgłębsze wgniecenie znajduje się na potylicy biegnące od góry ku dołowi. Kilka podobnych, nieco słabiej zaznaczonych wgnieceń znajduje się na kości czołowej, ciemieniowej prawej i lewej. Biegna one ułożone równolegle do siebie od

przodu i od strony prawej nieco ku tyłowi i stronie lewej, a dwa z nich na kości ciemieniowej lewej są przedłużeniami wgnieceń znajdujących się na kości czołowej i ciemieniowej prawej. Stwierdzone na czaszce wgniecenia są charakterystyczne dla działania urazów zadanych narzędziem tępokrawędzistym. Ścisłe jednak określenie użytego narzędzia jest niemożliwe, zresztą — jak uczy doświadczenie lekarskie — następstwa urazów zadanych w czaszkę przedstawiają się — poza obrażeniami zadanymi bronią palną i kłutą — rozmaicie, zależnie od użytego narzędzia oraz działającej siły [...]”.

W oparciu o stwierdzone obrażenia, biegli medycy sądowi pokusili się o rekonstrukcję przebiegu zabójstwa: „Jeśli uwzględnić umiejscowienie i charakter tych wgnieceń, a w szczególności, że wgniecenie na tyłogłowie posiada lewy brzeg biegnący prostopadle do dna wgniecenia, prawy zaś brzeg tego wgniecenia ma przebieg bardziej styczny, można przyjąć, iż uraz w tyłogłowie nastąpił od tyłu i nieco od strony prawej w kierunku ku stronie lewej. Zgodnie zaś z doświadczeniem lekarskim następuje po takim urazie zazwyczaj upadek uderzonego na stronę lewą ciała, a zatem w kierunku działania siły urazu z następowym odsłonięciem wówczas okolic ciemieniowych, a zwłaszcza okolicy ciemieniowej prawej, które to okolice mogą być wtedy miejscem następnych uderzeń”. Następnie biegli raz jeszcze zaznaczają, że „stwierdzone na czaszce wgniecenia, są śladami zadanych urazów, ich wielokrotność, charakter oraz ułożenie wykluczają bowiem możliwość, aby były to wrodzone lub przypadkowe pośmiertne zmiany”.

Medycy sądowi słusznie powstrzymali się przed orzeczeniem przyczyny śmierci człowieka, którego czaszkę badali, jako że to w oparciu o „badania jedynie samej czaszki jest niemożliwe”. Zaznaczają jednak, że „wszelkie